

Edward Zolowski

## Mówię — Ojczyzna

Mówię Ojczyzna  
jak Kwiaty  
otwarte z kształtów i barwy  
jak gwiazdy  
zrywane co wieczór  
i przykładane do twarzy

Mówię Ojczyzna  
jak Róże  
zawarte w cząsteczkach rosy  
jak liście  
słońcem dojrzałe  
rzucane w dywan pod stopy

— jak pieśni ptaków porannych  
— jak pierwsza zabawa w zielone  
— jak błękit żrenic i nieba  
— jak bukiet wiśni za domem

Mówię Ojczyzna  
jak Pejzaż  
otwarty z każdego piękna  
jak potok z trawą na lustrze  
zanim na cząstki popęka  
Mówię Ojczyzna  
jak Pokój  
zawarty uściskiem dłoni  
jak Polska moja wiosenna  
z pługów — cegiel — symfonii

Aleksander Żyga

Przeglądając opracowania naukowe i popularnonaukowe dotyczące terenów dzisiejszego województwa rzeszowskiego i zestawiając je z ilością i rangą naukowców, którzy z tej ziemi wyszli, uderza dysproporcja: względnie małej ilości prac o tym regionie towarzyszy wielka liczba uczonych i profesorów różnych gałęzi wiedzy. Oba fakty są łatwo wytłumaczalne: obecny region rzeszowski był rzadko nawiedzany przez naukowców ze względu na swoje specyficzne położenie; leżał daleko od centrów naukowych; Lwowa, Krakowa i Warszawy. Na owe kresy wkroczył ktoś na ogół bardzo rzadko i przygodnie. Genezę zjawiska drugiego, które wyrażało się prężnością i ekspansją kulturalną regionu małopolskiego, motywował znany historyk literatury Bronisław Chlebowski specyficznym jego położeniem geograficznym i napływową ludnością, która się tu osiedlała. Ziemię dzisiejszego województwa rzeszowskiego, a zwłaszcza wschodnią jej część, stanowiły tereny przejściowe, które prowadziły główne szlaki ze wschodu na zachód oraz z południa na północ. Stara pierwotna kultura pisze Chlebowski — przeniesiona w nowe warunki, na świeżą dziewiczą glebę, rozwija się z niezmierną szybkością, podczas gdy kolebka tej kultury, pozbawiona najlepszych sił przez emigrację z dolnych jednostek, bierze słaby udział w życiu umysłowym.

Konsekwencją owej prężności i rozwoju kulturalnego w tych sprzyjających warunkach był z jednej strony olbrzymi wkład tych ziem do kultury narodowej, z drugiej pisarze i uczeni tutejsi opuszczając strony rodzinne wrastali w nowe środowiska i ośrodki kulturalne, z nielicznymi wyjątkami wracając do „kraju lat dziecińczych”. Na tle licznego grona uczonych z tej prowincji w okresie renesansu wyjątek stanowi Marcin Kromer, który, aczkolwiek nie pisał w swych dziełach o swej „najbliższej” ojczyźnie, ale jednak do końca życia utrzymywał stosunki z rodzinnym Bieczem. Wyjątkiem był też Ignacy Krasicki, kanonik przemyski i biskup warmiński prowadzący regularną korespondencję z rodzinną i krewnymi w rodzinnym Dubiecku, odwiedzając je od czasu do czasu.

W tej sytuacji dosyć późno zabrano się do naukowego opracowania tych ziem. Nastąpiło to dopiero pod koniec wieku XVIII. Nie tyle uczeni z tych ziem pochodzący, ile autoch-

toni — amatorzy, galicyjscy hrabiowie i bogatsza szlachta miała się prac zbieracko - naukowych. Pod tym względem ich rola tutaj podobną była, w mniejszym oczywiście zakresie, do roli rodziny Czartoryskich w Warszawie, a później w Puławach, którzy po kinfiskacie majątków przez Rosję znaleźli na jakiś czas schronienie w Sieniawie. Podobnie jak Czartoryskich, utrata niepodległości Polski zdopinguowała bardziej patriotycznych reprezentantów arystokratycz-

## WKŁAD DO KULTURY NARODOWEJ

nych rodów galicyjskich do ratowania pamiętek przeszłości narodowej, do podejmowania się w sposób amatorski prac naukowych dotyczących najbliższych terenów. Zgromadzone przez nich księgozbiory stały się w przyszłości zalążkiem znaczniejszych bibliotek naukowych. Wśród opracowań przeważały historyczno - geograficzne. Poczet owych nielicznych uczonych galicyjskich rozpoczyna Andrzej Ewaryst Kuropatnicki swoją „Geografią”, albo dokładnym opisaniem Królestwa Galicji i Lodomerii” wydanej po raz pierwszy w Przemyslu w roku 1786, stanowiącej rodzaj słownika geograficznego z uwzględnieniem znajdujących się w danych miejscowościach zabytków w związku z wielkimi postaciami historycznymi. Rzetelnym kontynuatorem Kuropatnickiego był kanonik jarosławski, autor licznych rozpraw historyczno - geograficzno - starożytnych, drukowanych w organie Biblioteki Ossolińskiej: „Zapiski do Naukowego Księgozbioru Publicznego im. Ossolińskich” oraz spoczywającego do dziś dnia w rekopisie teże biblioteki słownika geograficznego Galicji. Tu należy wspomnieć także o twórcy teże Biblioteki, Józefie Maksymilianie Ossolińskim, w którego dziele pt. „Wiadomości historyczno-krytyczne do

Zdzisław Kozioł

## KONFRONTACJE

IZNÓW WYNIKI egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie budzą niepokój, skłaniają do refleksji. Rokrocznie zgłasza się coraz więcej kandydatów, wprowadzono więc egzamin konkursowy, ale w niektórych uczelniach z konieczności przyjęci będą słabo przygotowani do studiów. A przecież Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, w oparciu o doświadczenia I i II roku studiów, uznało, że takich kandydatów nie należy przyjmować, bo obniżają i tak niezadowalającą sprawność szkół wyższych.

Okazuje się jednak, że np. na Politechnice Warszawskiej spośród blisko 5 900 zdających, tylko 109 rozwiązało bezbłędnie 5 zadań z matematyki, a „piątki” i „czwórki” otrzymało łącznie 830 osób, oceny zaś niedostateczne — prawie 3 000 kandydatów. By wykonać plan przyjęć, uczelnia była zmuszona zakwalifikować nawet tych, którzy na egzaminie pisemnym z matematyki uzyskali „minus trzy”.

Dlaczego są tak niezadowalające wyniki z matematyki? Przyczyn nie należy chyba szukać w braku uzdolnień w tym kierunku; przecież wśród wybitnych matematyków o

światowej sławy jest wielu Polaków, a „polska szkoła matematyczna” wydatnie wzbogaciła tę dyscyplinę nauki. Na porządek dnia wysuwa się zagadnienie metod nauczania zarówno w szkołach podstawowych, jak i średnich.

Optymiści mniemali, że łok przed wyższymi uczelniami pozwoli wyłonić najlepszych, gwarantujących ukończenie studiów. Jednak wzrost aspiracji młodzieży, pragnącej z różnych pobudek zdobyć wyższe wykształcenie, nie idzie w parze z jej solidnym przygotowaniem do studiów. Nasuwają się więc pytania: czy uczelnie stawiają zbyt wysokie wymagania, czy też poziom nauczania w szkołach średnich jest zbyt niski?

Odpowiadając na te pytania należy zachować umiar; oceny uogólniające mogą być nieadekwatne, bo poziom przygotowania młodzieży jest zbyt zróżnicowany, przy czym — obok jej pracowitości i uzdolnień — trzeba uwzględnić także wiele innych czynników. Dlaczego np. absolwenci jednych szkół średnich z reguły zdają egzaminy wstępne, innych zaś wykazują się niezadowalającym zasobem wiadomości? Przeprowadzone ostatnio badania wykazały współzależność między pochodzeniem studentów (środowisko społeczne, miejsce zamieszkania) a osiągnięciami przed nich wynikami. Niekiedy twierdzą, że liberalizacja matur spowodowała pewne obniżenie poziomu egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie; sugestia ta zasługuje na uważne rozpatrzenie.

W ubiegłym roku w centrum uwagi opinii publicznej pozostawał nowy system selekcji, a zwłaszcza preferowanie w postaci dodatkowych punktów za pochodzenie społeczne, staż pracy przed studiami oraz oceny ze szkoły średniej. Wprowadzony w ubr. regulamin zapoczątkował ważne zmiany w systemie rekrutacji, problemami kształcenia młodzieży zainteresował spo-

łeczność w stopniu dotychczas nie spotykanym.

W sporządzonej w ub. roku przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego „Ocenie przygotowania młodzieży do szkół wyższych” czytamy:

„Uczelnie, jak również delegaci KOS (nauczyciele szkół średnich uczestniczących w komisjach egzaminacyjnych) oceniają poziom przygotowania młodzieży do studiów różnie, jedni podkreślają lepsze, inni nie widzą poprawy, inni natomiast mówią o pogorszeniu”.

Nie dokonano jeszcze podsumowania tegorocznych egzaminów, ale wiadomości napływające z licznych uczelni zdają się upoważniać do twierdzenia, że między szkołą średnią i wyższą istnieje bariera trudności, której część młodzieży nie jest w stanie pokonać. Szczególnie niepokojący jest niski poziom wiedzy z przedmiotów ścisłych.

Na podkreślenie zasługuje dążenie do maksymalnego zobiektywizowania ocen, stworzenia atmosfery sprzyjającej rzetelnemu sprawdzeniu stopnia przygotowania kandydata. Służyła temu m. in. anonimowość egzaminu pisemnego, komisyjne egzaminowanie kandydatów czy udział w tych komisjach nauczycieli szkół średnich. To wszystko spowodowało, że młodzież — choć świadoma czekających ją trudności — była znacznie spokojniejsza. Oczywiście jest to opinia ogólna, być może w indywidualnych wypadkach nie potwierdzająca się, niemniej jednak ukazująca pewną tendencję. W świetle tego słabe wyniki egzaminów są tym bardziej alarmujące.

Zarówno nauczyciele, jak i pracownicy naukowo dydaktyczni są zgodni, że zachodzi konieczność współpracy między szkołami średnimi i uczelniami. Od kilku lat nauczyciele szkół średnich uczestniczą w komisjach egzaminacyjnych, co

(Ciąg dalszy na str. 2)



Cecylia Błońska

# TA MIŁOŚĆ TRWA 30 LAT

**S**TARA krakowska kamienica przy ul. Karmelickiej znana jest niektórym miłośnikom regionu, działaczom kulturalnym Rzeszowszczyzny. Nieraz, gdy podczas pobytu w Krakowie czas pozwala, zatrzymują się dłużej, by odwiedzić Pracownię Badania Sztuki Ludowej.

Jej kierownika, prof. dra Reinfussa, nie ma potrzeby szerzej przedstawiać rzeszowskiemu czytelnikom: jedni czytali jego drukowane prace, mieszkańcy rzeszowskich wiosek znają go z licznych obozów naukowych; jako kierownik Katedry Etnografii i Etnologii Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie utrzymuje żywe kontakty z kołami naukowymi, muzeami Rzeszowszczyzny itp.

Archiwum Pracowni Badania Sztuki Ludowej (wchodzącej obecnie w skład Instytutu Sztuki PAN) jest inne od „zwykłych” placówek archiwalnych. Jego regały, skrytki, szuflady, kartoteki pełniącej z każdym rokiem, obok suchych cyfr i statystyk, kryją w sobie jakiś odblask kolorowego bogactwa. Są to wszak wyniki naukowych peregrynacji i penetracji — całego zespołu badań terenowych, — które obejmują folklor różnych części Polski, nie omijając oczywiście województwa rzeszowskiego: siatka zbadanych punktów pokrywa całą niemal mapę naszego regionu.

Wspominam w rozmowie z profesorem obóz w Weryni, gdzie zetknęliśmy się w r. 1950. Dr Reinfuss wymienia kolejne — w Żuklinie koło Kańczugi w r. 1957, w Turaszówce koło Krosna z r. 1959, objazdy penetracyjne w Przemyślu, Sanockiem, Brzozowskiem, Gorlickim, Dębickim.

Więc zdając sobie sprawę, że przy całej ciekawości nie zdołam jednak podczas mojej wizyty zgłębić wyników tych terenowych kontaktów, pytam o aktualną ilość pozycji.

— Przeszło 75 tys. pozycji inwentarzowych, obejmujących sprawozdania i materiały rysunkowe oraz 35 tys. zdjęć fotograficznych.

Rozmawiamy o owych obozach, zawsze chętnie przyjmowanych przez mieszkańców zainteresowanych wiosek, o owych prawdziwych pogoniach za niezwykłymi przedmiotami sztuki ludowej, czy też zabawkami ludowego budownictwa. Wspominam też pewną wystawę w Gorlicach, na której widziałam, dobrze już poźółki, egzemplarz literackiego dodatku „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z roku 1931 z artykułem mego rozmówcy.

— Ach, to był mój pierwszy w życiu etnograficzny artykuł — śmieje się p. Reinfuss. Nie przypuszczałem, że zrodzony w przypadkowych okolicznościach przesądzi sprawę na całe życie. Spędzałem wówczas ferie u matki w Gorli-

cach, chadzałem często na wycieczki i pewnego dnia na Magurze Małostowskiej koło Rychwałdu (obecnie Owczary) spotkałem starego Lemka pasącego owce i krowy, który niezwykle interesująco opowiadał o dawnym lemkowskiem pasterskim. Z opowiadań tych powstał pierwszy etnograficzny artykuł, a potem wciągnęły mnie już systematycznie choć po amatorsku prowadzone badania terenowe, o-



Prof. dr Roman Reinfuss (podczas zjazdu pisarzy i naukowców wywodzących się z Rzeszowszczyzny).  
Fot. M. KOPEĆ

bejmujące głównie Lemkowszczyznę, sięgając i dalej na wschód do Bojków i Huculów. Późniejsza współpraca ze znakomitym Sewerynem Udzielą, studia etnograficzne u prof. Kazimierza Moszyńskiego, od roku 1937 praca w Muzeum Etnograficznym przyniosły spory plon: w chwili wybuchu wojny miałem już 38 drukowanych pozycji, z których ponad 65 proc. dotyczyło terenów dzisiejszego województwa rzeszowskiego. Były to przeważnie prace na temat Lemkowszczyzny, Dolinian z okolic Sanoka, niekiedy i Pogorza. —

Zatrzymuję się przed bibliotecznym regałem, odczytując tytuły po-

szczególnych pozycji. „Polskie druki ludowe na „Rótnie” wydane w roku 1953 otwierają całą serię źródłowych opracowań, jak „Ludowe skrzynie malowane”, „Garnce ludowe”, „Sztuka ludowa w Polsce” (opracowana wspólnie z J. Świdorskim), „Malarstwo ludowe” i najnowsza, wydana w roku bieżącym, eksponowana już na wystawach naszego Domu Książki o „Ludowych kafkach malowanych”.

W każdej z nich, mimo że tematem obejmują całą Polskę — mówi dr Reinfuss — uwzględniłem szeroko zagadnienia związane z Rzeszowskiem.

— A interesujące nas prace magisterskie zrealizowane pod Pana kierunkiem przez młodą kadnię pracowników etnografii i etnologii czemu są poświęcone?

Okazuje się, że jest ich sporo,

Wiem, że dr Reinfuss, jak każdy uczony, niechętny jest w zasadzie określeniom typu *senasacyjny*, u *nikałny*. Jednakże zafascynowana trochę tą różnorodnością problemów, ryzykuję pytanie: — Czy notowaliście jakieś sensacyjne odkrycia w zasięgu naszego województwa i czy można mówić o regionalnym wydawnictwie, jakie posiadało by znaczenie uniikalne?

— Niewątpliwie można. Do dziedzin odkryć sensacyjnych należałoby, zarejestrowany przez uczestników obozu w Weryni, jeden z najciekawszych ośrodków produkcji ludowych kafek malowanych, jakim był Leżajsk. Do rangi wydawnictw uniikalnych w skali ogólnopolskiej zaliczyłbym tom „Nad rzeką Ropą” — zarys kultury ludowej powiatu gorlickiego z r. 1965, któremu patronowałem. Jego niezwykłość wynika z faktu, że powstał ze zbiorowej współpracy gorlickich regionalistów i lubelskiego ośrodka uniwersyteckiego, a współdziałanie to dało w efekcie pełny, dostępny dla każdego czytelnika zarys etnografii Zachodniego Pogorza i przyległej Lemkowszczyzny.

— Jaki profil mają badania aktualnie prowadzone na terenie Rzeszowszczyzny przez Katedrę Etnografii i Etnologii UMCS?

— W ramach tych badań w paśmie pogranicza polsko-ruskiego prace prowadzone są na obszarze Be-

skidu Niskiego i przyległego Pogorza. Lubelscy studenci realizują je razem z pracownikami Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. — Ponieważ trzymam jeszcze w ręku maszynowy tom „Ludowych kafek malowanych” z datą edycji bieżącego roku, zapytuję o pierwszą rozprawę naukową sensu stricto.

W roku 1936, równo 30 lat temu, w XXXII tomie „Ludu” ukazała się pierwsza rozprawa naukowa pt. „Budownictwo ludowe na Zachodniej Lemkowszczyźnie”.

— Profesorze, a więc przez 30 lat pozostał Pan wierny miłości do naszego regionu! Nie byłabym rzeszowską, nie pytając co z tej miłości pozostało trwałego w dorobku naszego województwa.

— Po 30 latach pracy, moja bibliografia obejmuje 201 pozycji, z czego 46, a więc 1/4 odnosi się do terenów województwa rzeszowskiego.

— Była to miłość z przypadku?

— E, chyba nie. Jeśli problematyka Rzeszowszczyzny angażuje tak dużą część mego czasu, wynika to przede wszystkim z sentymentu, jaki odczuwa człowiek do ziemi na której się urodził, spędził najpiękniejsze lata młodości i gdzie zaczęły kiełkować jego pierwsze poważne zainteresowania. Niemal podsyca ten sentyment życzliwość i gotowość pomocy, z jaką na terenie naszego województwa spotykam się przy każdej okazji.

Tadeusz Kubas

## Życie

pamięci Siostry

co dzień  
skazuje  
na wczesne jutro  
swą bezbronnością silne  
noworodki  
ostatnie bóle  
jak ogień palące  
bezkarnie tuczy  
na orbitach trzewi



Czesław Piotr Kondraciuk

Oto się święci imię twoje  
w zmruszonych słowach  
dziwnych gestach  
spod wypłowiatach czasu pojęć  
wyszłedł na spacer  
snu majestat  
Zygzakiem śladów kroczy sobie  
wytartym szlakiem ludzkich  
złudzeń  
od ciężkich westchnień  
po krwiobieg  
żeby pozbiierać  
szczęścia cudze.

# KONFRONTACJE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

m. in. pozwala im zorientować się w wymaganiach stawianych przez uczelnie, konfrontować je z obowiązującymi w szkołach średnich programami nauczania, wyrażając swoją opinię o metodach egzaminowania. Przedstawiciele szkolnictwa obu szczebli podkreślają korzyści płynące z tej współpracy; jest ona ważnym czynnikiem zbliżającym szkolnictwo średnie i wyższe. Niestety, zasięg tej współpracy jest niezadowalający, można nawet zarzykować twierdzenie, że licea i technika nie wykorzystują istniejących możliwości. Udział nauczycieli w komisjach egzaminacyjnych może być znacznie szerszy; bywają jednak wypadki, że zaproszenia szkół wyższych pozostają bez odpowiedzi.

Nie jest to jedyna forma kontaktów. Zresztą nie każda szkoła może delegować nauczyciela uczącego przedmiotu, z którego egzaminowani są kandydaci na studia. Uczelnie krokrocznie sporządzają podsumowania egzaminów, MSZW wydaje wspomniane „Oceny przygotowania młodzieży do szkół wyższych”. Z dokumentów tych szkolnictwo średnie korzysta w znikomym stopniu, do wielu szkół w ogóle one nie trafiają. A mogą oddać nieocenione wprost usługi, pozwalając bowiem konfrontować wymagania stawiane przez uczelnie z realizowanymi w szkołach średnich programami nauczania.

Wyłania się także konieczność bezpośrednich kontaktów nauczycieli i pracowników naukowo-dydaktycznych, nie tylko podczas egzaminów maturalnych czy wstępnych, ale także w ciągu roku szkolnego. Chodzi mianowicie o spotkania nauczycieli i wykładowców danego przedmiotu, zwłaszcza przedmiotów kierunkowych na uczelniach, co może wydatnie przyczynić się do przezwyciężenia owej bariery trudności. Kto ma być organizatorem tych spotkań, seminariów czy konsultacji? Sądzę, że poważną rolę mają tu do spełnienia ośrodki metodyczne, ale wprawdzie konieczne jest wydanie jakichś aktów normatywnych. A to leży w kompetencji władz szkolnych i resortów, którym podlegają uczelnie.

— Czy nowy system przyjęć spełni pokładane w nim nadzieje? W ub. roku wywołał kontrowersyjne sądy, szczególnie zasada preferowania za pochodzenie robotniczo-chłopskie spotkała się z namiętną obroną bądź ostrą krytyką. Nowy regulamin aprobowali ci, którzy dostrzegali społecznie negatywne skutki spadku odsetka studiującej młodzieży robotniczo-chłopskiej. Oponenti zaś podkreślali, że spowoduje obniżenie poziomu przyjętych kandydatów, co odbije się na sprawności studentów, co odwołano wiele innych argumentów za i przeciw.

Na uwagę zasługują więc badania przeprowadzone przez Zakład

Metod Nauzania i Wychowania Politechniki Warszawskiej, które na łamach ostatniego numeru „Życia Szkoły Wyższej” prezentuje Zofia Kietlińska. Badaniem objęto wszystkich studentów I roku, a miały one odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania:

„Czy i w jakim stopniu nowy system przyczynił się do zwiększenia dopływu młodzieży robotniczo-chłopskiej na studia? Czy i w jakim stopniu obawy o obniżenie poziomu przyjętych na studia w wyniku nowego systemu rekrutacji znalazły swoje potwierdzenie?”

Uczelnia przyjęła 2544 studentów, z których 164 (6,5 proc.) podjęło studia dzięki punktom dodatkowym; gdyby kwalifikowanie odbyło się w oparciu o dawne kryteria, nie przekroczyłby on progów Politechniki. Z tych 164 studentów, ponad 40 proc. uzyskało punkty dodatkowe za pochodzenie społeczne; w efekcie odsetek młodzieży robotniczo-chłopskiej w Politechnice Warszawskiej wzrósł nieco ponad 2 proc. w stosunku do uprzednich zasad kwalifikowania.

Pierwszy semestr zaliczyło 91,5 proc. studentów, podczas gdy w roku poprzednim — 88,7 proc. W grupie studentów, których przyjęto dzięki punktom dodatkowym, semestr zaliczyło 87,2 proc. Czyżby nowy system rzeczywiście obniżył poziom? Bliższa analiza — zdaniem autorki — zdaje się nie potwierdzać tego przypuszczenia, gdyż zdecydowaną większość skreślono na jednym z wydziałów, a na pozostałych 11 wydziałach — tylko 5 osób. Na wielu wydziałach, z preferowanych studentów nie odpadł ani

jeden, albo odsetek był mniejszy niż odsetek ogólny.

Badania przeprowadzono tylko w jednej uczelni, trzeba więc zachować ostrożność w uogólnianiu ich wyników. Nasuwają się jednak bardzo istotne wnioski. Progностycznie egzaminu wstępnego na PW jest bardzo wysoka, skoro nawet kandydaci słabsi potrafili zaadaptować się do studiów i osiągnąć pozytywne wyniki. Zdaniem Z. Kietlińskiej jest to

„wynikiem zasady indywidualizowanego obiektywizmu, coraz szerzej stosowanego w metodzie egzaminowania, polegającego na badaniu i ocenie nie tylko faktycznego zasobu szczegółowych informacji posiadanych przez kandydata, ale jego predyspozycji do umiejętności myślenia i rozumowania — na podstawie, oczywiście, pewnego niezbędnego minimum faktycznej wiedzy”.

Autorka twierdzi, że nowy system kwalifikowania nie spełnił pokładanych w nim nadziei, jeśli chodzi o zwiększenie udziału młodzieży robotniczo-chłopskiej. Zasadniczym instrumentem preferencyjnym powinna być właśnie metoda indywidualizowanego obiektywizmu w ocenie kandydata. Istota sprawy leży przede wszystkim w małej liczbie zgłoszeń na studia tej młodzieży, zwłaszcza młodzieży chłopskiej i z małych ośrodków.

I to jest istotny problem społeczny. Chodzi głównie o znalezienie przyczyn tego zjawiska, bo chyba nie jest ono wywołane — jak się zwykle twierdzi — obawą niedostania się na studia. Zasada

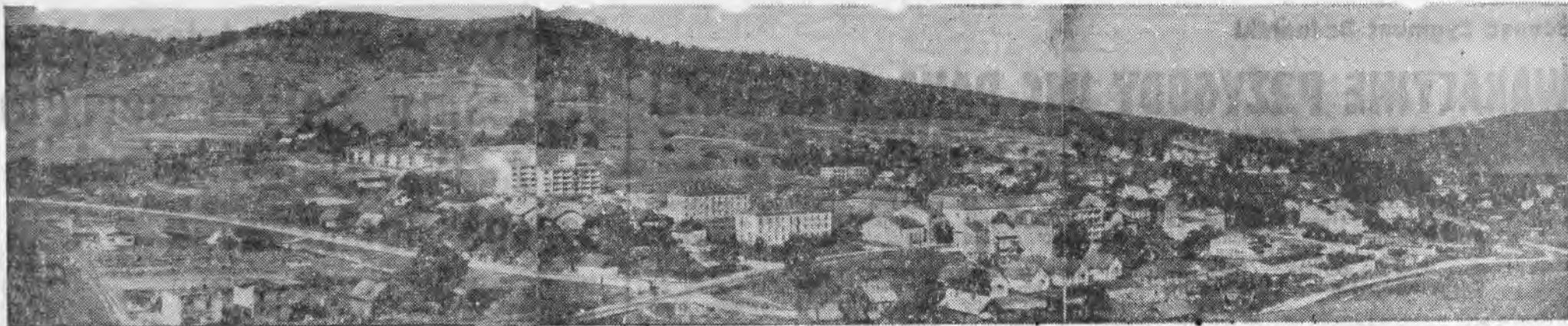
preferowania powinna być zachęta, lecz nią się nie stała. Wydaje mi się, że przyczyn należy szukać m. in. w szkole średniej, a przynajmniej ona powinna podjąć badania w tym zakresie. Dopóki ich się nie podejmie, skazani będziemy na domysły i spekulacje, co nie sprzyja znalezieniu środków zaradczych, a te są niezbędnie potrzebne. Przemawiają za tym zarówno względy społeczne, jak i dydaktyczne.

Dla uzasadnienia tego twierdzenia warto przytoczyć wyniki innych badań, przeprowadzone również na Politechnice Warszawskiej. Danuta Matuszewska-Mysior twierdzi, że „młodzież spoza Warszawy, szczególnie z małych miast, uzyskuje większą przepustowość i wykazuje większy skok jakościowy w porównaniu do startu; również młodzież pochodząca z rodzin robotniczych i chłopskich (szczególnie chłopskich) wykazała większą dynamikę w studiach niż młodzież pochodząca z rodzin inteligencji pracującej”.

Jest to jeszcze jeden dowód przemawiający za koniecznością zwiększenia odsetka młodzieży robotniczo-chłopskiej na wyższych uczelniach; ważne są zarówno względy dydaktyczne, jak i społeczne. Badań zaś podjęte przez Politechnikę Warszawską wykazują poważne możliwości dalszego udoskonalenia systemu rekrutacji i selekcji.

ZDZISŁAW KOZIOL

1) Zofia Kietlińska — Pierwsza próba analizy nowego systemu rekrutacji, „Życie Szkoły Wyższej” nr 5/1966.  
2) Danuta Matuszewska-Mysior — Rekrutacja a postępy w studiach, tamże.



Jan Grygiel

# GDZIEŚ W USTRZYCKIM POWIECIE...

Ustrzyki Dolne — miasto na końcu mapy i u schyłku alfabetu. Osada pionierska, egzotyczna, kraina przygody i swobody. Taką sławę zyskała sobie w ciągu 14 lat stolica Bieszczadów. Mówiło się i pisało o bieszczadzkiem „Eldorado”, o kowbojach z zielonych wzgórz, o Tekksasie, o urokach dzikiego górskiego krajobrazu i dziewiczej krainie stopą cywilizacji prawie niekniętej. Gruby zwierz, bezdroża, osadnicy i „awanturnicy” ze wszystkich zakątków kraju tu szukający ucieczki przed prawem — oto pożywka dla wyobraźni turystów tu wędrujących. Do tej egzotyki wytwarzanej i utrwalonej przez literaturę, film, piosenkę i wieść gminną wypadnie mi powrócić.

Tymczasem niech o Ustrzykach Dolnych mówią cyfry, fakty i przesłanki ekonomiczne, które czasem brzmią również nieco egzotycznie.

Powiat Ustrzyki Dolne istnieje od 1 I 1932 roku, zajmuje obszar 1187 km kw., zamieszkały przez około 17 tys. mieszkańców, w tym miasto Ustrzyki liczy 5 tys. mieszkańców. Wynika stąd, iż gęstość zaludnienia wynosi tu 13,4 mieszkańca na 1 km kwadr. (przeciętna w kraju 101 mieszkańców na km kw.). W skład powiatu wchodzi 88 wsi, ale 33 z nich są do dziś niezaludnione. Ludność osadnicza przybyła tu po roku 1932 stanowi 72 proc. ogółu mieszkańców.

Przemysłu w mieście i powiecie prawie nie ma — kopalnictwo naftowe z niewielką załogą nie ma większego znaczenia gospodarczego i nie stanowi ekonomicznych podstaw bytu miasta. Trudno również liczyć na większe sukcesy w rolnictwie w warunkach polityki osadniczej; przy najlepszych glebach i niedużym procentowo areale uprawnej ziemi (59 proc. powierzchni powiatu pokrywają lasy). Zresztą do tej chwili jeszcze 10—11 tys. ha ziemi czeka na osadników. Jedynie przed hodowlą bydła i owiec wtłórają się tu szerokie perspektywy, ale to sprawa dalsza.

Czyżby więc Ustrzyki Dolne były istotnie tak ostatnią miejscowością nie tylko na mapie i w alfabecie lecz także pod względem szans życiowych? Trudno nie zadać sobie pytania, gdy ogląda się z góry białą nić miasteczka wciśniętą w wąską kotlinę między Równią i Kamienną Lawortą — malownicze wzgórze tutejsze — z czego Ustrzyki właściwie żyją i z czego zamierzają żyć w przyszłości. Kiedyś, przed wojną była tu duża rafineria nafty, aktywne zagłębie naftowe, szerokie zaplecze gęsto zaludnionych lemko-wskich wiosek, które żywiły miasto... A dziś? Wszystko to zniweczyła wojna i walki z UPA. Historia najnowsza obeszła się okrutnie z tym miastem. Można by więc oczekiwać w Ustrzykach rozgoryczenia, kompleksów krzywdy, marazmu i bierności... Na szczęście nie z tej atmosfery tu się nie spotyka. Miasto powoli rośnie, pięknieje z roku na rok dzięki ambicji i gospodarności mieszkańców. Wytworzyli się tu dość żarliwy patriotyzm lokalny, który angażuje mocno w sprawy rozwoju Ustrzyk i miejscowe władze, i obywateli.

Pytanie — z czego Ustrzyki Dolne żyją i na co liczą — zadałem także moim rozmówcom w Komitecie Powiatowym PZPR i Prezydium Pow. Rady Narodowej. Odpowiedziano mi bez większego namysłu, że z turystów. Trzeba dyskutować tę osobliwą sławę dzikiego, pionierskiego zakątka, która dziś się wprowadziła nie pokrywa z rzeczywistością, lecz pociąga ludzi z całego kraju. W Ustrzykach śmieją się z tych legend lecz nie dementują ich — im dłużej Bieszczady będą modne i atrakcyjne tym lepiej. Przez miasto przebiega obecnie około 400 tysięcy turystów rocznie. Ponadto niezwykle malownicze położenie miasta i jego walory klimatyczne powodują, iż wiele ludzi nie chce poprzestać na zwiedzaniu gór — chciałoby tu spędzić urlop, odpocząć przez dłuższy czas. Ustrzyki posiadają więc wszelkie warunki, by stać się dużym ośrodkiem turystyki i wypoczynku dla całego kraju o randze Zakopanego czy Krynicy. Wiąże się to jednak z ogromnym wysiłkiem gospodarzy — trzeba stworzyć sprawną i dużą bazę turystyczną — zapewnić noclegi i mieszkania, postawić na wysokim poziomie gastronomię, zbudować obiekty i urządzenia turystyczno-wypoczynkowe.

Powiat i miasto w ogóle do tych zadań nie były przygotowane — mówi sekretarz Prez. PRN. Zaczynaliśmy tu w roku 1932 prawie od zera. Miasto bardzo ucierpiało w czasie wojny, toteż gdy otrzymaliśmy Ustrzyki od Związku Radzieckiego na podstawie układu o wymianie przygranicznej — nie było tu świątyn, chodników, trwałej nawierzchni na ulicach ani żadnej większej budowli.

— To, czym dysponujemy obecnie nie spełnia jeszcze zadań bazy turystyczno-wypoczynkowej z prawdziwego zdarzenia — stwierdza następnie. Na terenie miasta i powiatu mamy około tysiąca miejsc noclegowych w sezonie (z tego 500 w Ustrzykach Dolnych) i około 800 miejsc konsumpcyjnych w lokalach gastronomicznych. Ale nasz stan posiadania w tych dziedzinach zwiększa się z roku na rok. W mieście zaczęliśmy budowę dwóch restauracji o 300 miejscach, a w powiecie budujemy obiekty gastronomiczne w Ropience i w Krościenku na 160 miejsc. W tym roku oddaliśmy dużą nowoczesną restaurację w Czarnej.

Trzeba stwierdzić, że dwie istniejące już restauracje ustrzyckie nie robią najlepszego wrażenia. Niezbyt tam czysto i zaopatrzenie w potrawy — zwłaszcza zimne, nie najlepsze. Ale postęp jest wyraźny. Dawniej były to obskurne bary „pod batogiem”, w których wódka zakąsała się „manufakturą”. Dziś można już tam coś zjeść. Natomiast kawiarnia w Ustrzykach jest bardzo miłym i czystym lokalem, przyzwyczajając do czystości.

Jak mnie poinformowano, w bieżącym kwartale gospodarze miasta chcą rozpocząć budowę hotelu turystycznego o 215 łóżkach i z jesz-

cze jedną restauracją i kawiarnią. Przy okazji przekazują apel władz powiatowych do sanockiego przedsiębiorstwa budowlanego o rozpoczęcie pracy na tej budowie — i milion złotych kredytu do wykorzystania w tym roku to nie bagatela — przy zwłocze można nie zdążyć z przerobem. Remontuje się również hotel komunalny w mieście, który będzie dysponował 45 łóżkami.

Plany rozwoju i ciągłego wzbogacania bazy turystycznej są tu bardzo szerokie. Widać, iż cały wysiłek gospodarzy miasta i powiatu koncentruje się na tych sprawach. A więc projektuje się budowę hotelu na 300 miejsc i ośrodka sportowo-wypoczynkowego kosztem 35 milionów złotych w Brzegach Górnych, wyciągu krzeselkowego na Poloninę Caryńską, piekarni, która zlikwiduje niedobór pieczywa w sezonie (dzienny deficyt wynosi obecnie od 3—4 ton chleba) i kilku pawilonów gastronomicznych.

Ale najczęściej czasu w rozmowie zarówno w Komitecie Powiatowym, jak i w Prezydium PRN zajęła nam sprawa czynów społecznych w mieście i powiecie. Istotnie w tej dziedzinie mieszkańcy Ustrzyk mają dużo do powiedzenia. W ich społecznym wysiłku i ofiarności wyraża się troska o atrakcyjność miasta, duże zaangażowanie uczuciowe w sprawy jego rozwoju i perspektyw. Dzięki temu czyny społeczne stały się jednym z ważnych czynników rozwoju i aktywizacji gospodarczej powiatu ustrzyckiego.

Wieści się ostrożnie i z wahaniami. Sprawa nie jest jeszcze ostatecznie zdecydowana. Sądzę, że ten pomysł zasługuje na realizację. Warto ocalić od zapomnienia przedmioty kultury, obyczajowości, w ogóle całej nieistniejącej już u nas kultury małopolskich środowisk żydowskich, zniszczonych przez okupanta, warto również dać świadectwo martyrologii tego narodu. Byłoby to, o ile się nie myli pierwsze muzeum tego typu w Polsce (istnieje takie w Pradze). Zlokalizowane na tak licznie uczęszczanym szlaku turystycznym, w okazałym i dobrze zachowanym gmachu synagogi spełniałoby dobrze swoją rolę.

Józef Jędrzejec, sekretarz Prez. PRN, ma zresztą mnóstwo innych, błyskotliwych pomysłów. Są one wynikiem dużego, osobistego zaangażowania w sprawy Ustrzyk Dolnych i trwałego wrośnięcia w tutejszą glebę (na tym stanowisku trwa od samego początku istnienia tego powiatu — był jednym z organizatorów życia społecznego i władz państwowych w mieście). Tak samo związał się na trwałe z Ustrzykami przewodniczący Prez. PRN Władysław Dutkiewicz, od 14 lat kierujący powiatem, z którym niestety nie miałem okazji rozmawiać.

Ci ludzie wiedzą, o co chodzi w tym mieście, jaką drogą trzeba iść i konsekwentnie zmierzają do realizacji postawionego sobie celu — uczynienia z Ustrzyk Dolnych cen-

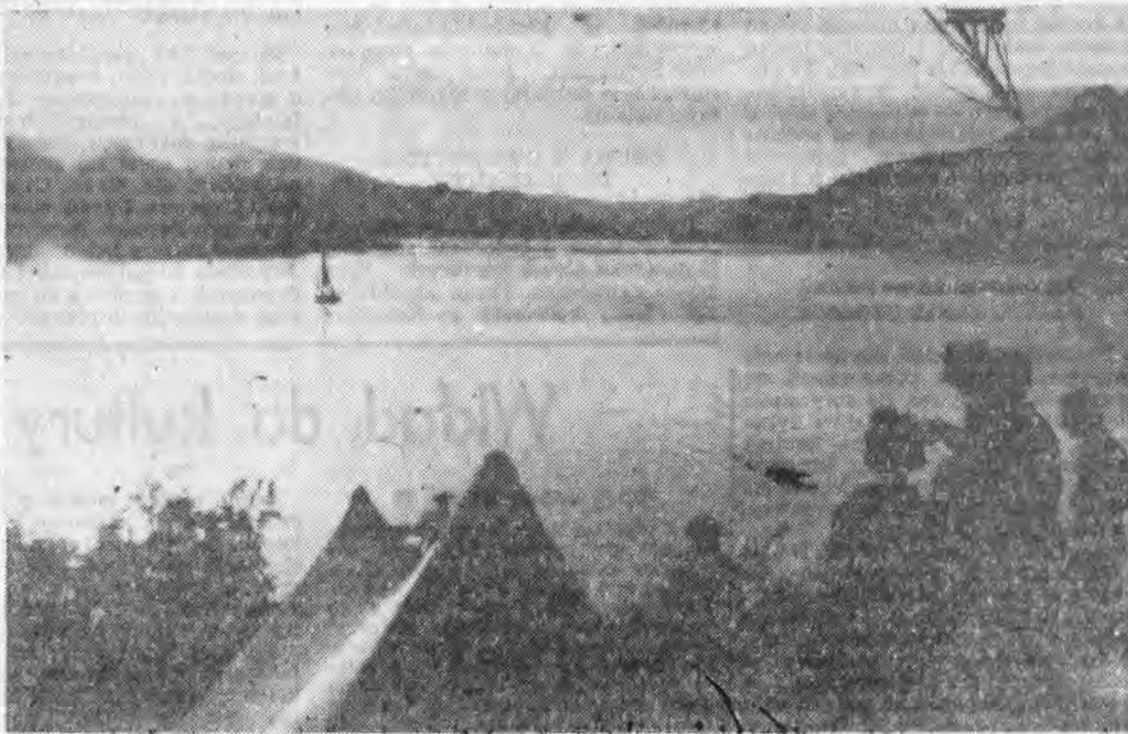
trum turystyczno-wypoczynkowe, na wysokim poziomie, dla całego województwa. Liczą przy tym często na siły, zapał i ofiarności wielu ludzi, którym sprawy własnego regionu leżą również na sercu. I jak świadczą osiągnięcia w zakresie czynów społecznych — te rachuby nie zawiodą. Tym wszystkim zapaleńcom patronuje sekretarz KP PZPR tow. Władysław Tarnawski — główny motor wszystkich czynów społecznych — szczególnie troszczący się o podniesienie estetyki miasta i o rozwój bazy turystycznej. Z jego inicjatywy Ustrzyki przystąpiły do konkursu pod hasłem: „upiększamy ziemię rzeszowską”.

Zapobiegliwi gospodarze licząc na siłę słowa pisanego prosili o przypomnienie odpowiednim resortom i władzom, że nie ze wszystkim jest już w powiecie tak dobrze, by nie trzeba mu było pilnej pomocy. Konieczna jest tu budowa nowej szkoły podstawowej, gdyż brak już izb lekcyjnych dla ósmych klas. Nie mogą się obejść Ustrzyki bez internatu dla młodzieży. Trzeba dodać, iż to jedyny powiat, który dotąd nie ma szkoły zawodowej. Istnieje wprawdzie uchwała Prez. WRN zobowiązująca Kuratorium

do budowy tu takiej szkoły, ale nie zaszkodzi zainteresowanym o tym przypomnieć. Pod adresem WZSP przekazują prośbę o budowę obecnego miastu pawilonu usługowego. Dałby on początek bardzo potrzebnej tu powiatowej spółdzielni wielobranżowej. Ale zasadniczym problemem dla Ustrzyk jest katastrofalny brak wody — do tego stopnia, iż grozi to epidemią w mieście. Konieczna jest tu jak najszybsza pomoc dla miasta przy budowie nowego ujęcia wody. To wszystko przekazuję pod uwagę komu należy, gdyż nie wszystko można zrobić w czynach społecznych.

Gdzieś w tych rozważaniach o codziennym trudzie mieszkańców Ustrzyk, o ich zabiegach i wysiłkach, by życie w tym mieście było łatwiejsze i piękniejsze zapodział się nastrój egzotyki i pionierskiej legendy. Nic takiego w tym mieście bowiem nie zauważyłem. Miasteczko nad Strwiążem chce żyć tak samo jak się żyje nad Sanem czy Wisłą. Nie ma tam już klimatu dla „desperados” z prawem poróżnionych, dla wykończonych życiowych szukających ozdrowienia w gusznian dla niebieskich płaszków usiłujących w „Eldorado” zbijać fortunę.

Ale że żyje się tu jeszcze trochę trudniej niż gdzie indziej w kraju — to sprawa oczywista. A mimo to wracają tu ludzie z dużych ośrodków miejskich, którzy kiedyś przed wojną w Ustrzykach mieszkali, by tu na skraj mapy żyć razem z tym trudnym miastem.



NAD ZALEWEM MYCZKOWSKIM

Fot. M. KOPEC

Sekretarz Prezydium PRN Józef Jędrzejec z dumą wlicza mi obiekty, które powstały z troski, by Ustrzyki nie były takie ostatnie. Wyciąg krzeselkowy narciarski i skocznia, piękny basen kąpielowy, sala gimnastyczna przy Liceum Ogólnokształcącym, bitumiczne boisko sportowe, efektywny pomnik w mieście oraz basen kąpielowy w Ropience, świetlice w Brelikowie, Lutowskich i Wańkowej, Wiejski Dom Kultury w Krościenku i wiele odcinków dróg lokalnych powstało w ostatnich 2 latach. W latach 1964—65 wartość zrealizowanych czynów społecznych w powiecie wyniosła 5 mln złotych, w roku bieżącym wyniesie ponad 6 mln złotych. Trzeba uwzględnić w tym rachunku, że w całym powiecie mieszka tylko 17 tys. ludzi i to w większości na dorobku (72 procent ludności osadniczej).

Plany na przyszłość są nie mniej bogate i ambitne. Mieszkańcy Ustrzyk Dolnych budują obecnie retransmisyjną stację telewizyjną i rampę kolejową wraz z ulicą dojazdową. Zamierzają przystąpić do budowy Powiatowego Domu Kultury, strzelnicy sportowej i do adaptacji synagogi na muzeum judeistyczne. O tym ostatnim projek-

trum turystyczno-wypoczynkowe, na wysokim poziomie, dla całego województwa. Liczą przy tym często na siły, zapał i ofiarności wielu ludzi, którym sprawy własnego regionu leżą również na sercu. I jak świadczą osiągnięcia w zakresie czynów społecznych — te rachuby nie zawiodą. Tym wszystkim zapaleńcom patronuje sekretarz KP PZPR tow. Władysław Tarnawski — główny motor wszystkich czynów społecznych — szczególnie troszczący się o podniesienie estetyki miasta i o rozwój bazy turystycznej. Z jego inicjatywy Ustrzyki przystąpiły do konkursu pod hasłem: „upiększamy ziemię rzeszowską”.

Zapobiegliwi gospodarze licząc na siłę słowa pisanego prosili o przypomnienie odpowiednim resortom i władzom, że nie ze wszystkim jest już w powiecie tak dobrze, by nie trzeba mu było pilnej pomocy. Konieczna jest tu budowa nowej szkoły podstawowej, gdyż brak już izb lekcyjnych dla ósmych klas. Nie mogą się obejść Ustrzyki bez internatu dla młodzieży. Trzeba dodać, iż to jedyny powiat, który dotąd nie ma szkoły zawodowej. Istnieje wprawdzie uchwała Prez. WRN zobowiązująca Kuratorium

Tak np. wrócił ze Szupiska fotograf Jan Szczepański porzucając dobrze prosperujący zakład — tak wracają inni. I oni właśnie najwyższą ceną, to co się dzieje w Ustrzykach — dawnym brudnym i kramarskim miasteczku.

## Współczesne sztuki polskie

W Moskwie ukazał się w przekładzie na język rosyjski zbiór 9 współczesnych sztuk polskich. Autorem przedmowy jest prof. Bolesław Rostocki, który dokonał również wyboru sztuk, jego zdaniem, najbardziej charakterystycznych dla twórczych poszukiwań współczesnego teatru polskiego.

Książkę otwiera sztuka Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry”. Znajduje się tu też „Pierwszy dzień wolności” Leona Kruczkowskiego (sztuka ta wystawiano już na scenach radzieckich), „Dziecioty sprawiedliwy” Jerzego Jurandota, „Na pełnym morzu” Sławomira Mrożka, „Skandal w Hellbergu” Jerzego Brzostkiewicza i in. Twórczość dramatyczną na Jarosława Iwaszkiewicza, którego czytelnicy radzieccy znają jako autora utworów baletystycznych, reprezentuje „Obudowa Biedomeira”.

Tadeusz Zygmunt Bednarski

# WAKACYJNE PRZYGDY IMC PANA SYROKOMLI W KRAKOWIE I RZESZOWSKIM

*Na mogile spiewaka  
Rośnie trawka zielona,  
I rośnie bujnie taka,  
Bo to z jego snadz tonu,  
Co kochalo tak szczerze,  
Ona zywot swoj bierze.*

I choć minęło już ponad sto lat od śmierci Ludwika Kondratowicza, feleton o wakacyjnym wyjeździe poety warty rozpocząć od przypomnienia argumentu wiersza, zatytułowanego „Trawka z grobu Syrokomli”, pióra przyjaciela pisarza — Antoniego Kankowskiego. Bo i w tym krótkim, trycznym hołdzie Syrokomli przedstawiony jest jako śpiewak „krzyczący w złą dobę” i szczerze kochający prostych „ludzi poczciwych”. To właśnie jego wierszowane gawędy przedstawiały lud, odznaczający się głęboką szlachetnością, a jeśli szlachetkie typy przedstawione były przez poetę z nieklamną sympatią — to stawały się rzecznikami wolności pańszczyźnianego chłopca. Po-

lipca, donosząca z Wilna, iż w czerwcu na tamtejszej scenie jego dramat „Kasper Karliński” odniósł szalony sukces.

Obiad, jakim poetę miało uczyć w krakowskiej „Resursie” nie odbył się, z powodu powszechnej żaloby po zgodzie bibliotekarza Biblioteki Jagiellońskiej — Józefa Muczkowskiego. Szczegóły zamierzonego obiadu poznajemy ze „Wspomnień” Ambrożego Grabowskiego — historyka i archiwisty. Syrokomla odwiedził znanego historyka 30 lipca i wpisał się do jego pamiętkowej księgi. Literacka i naukowa elita Krakowa chciała — na wzór Poznania — uczyć pisarza składkowym obiadem, na który przeznaczono niedzielę — 1 sierpnia. Grabowski, jako najstarszy wiekiem w tym gronie, miał powitać wieszca i wnieść zdrowie gości, którego utwory — jak pisał — „z wielką przyjemnością są czytane i najzasłużenie odbierają pochwały”. Muczkowski miał być

szczytnie. „Kronika miejscowa” dziennika w nrze 184 z 14 sierpnia 1858 r. donosi, iż: „...znaleziono w Gorlicach spory pugilares, zawierający parę listów, nieco austriackiej i rosyjskiej papierowej monety, a na wszystkich kartach ołówkiem pisane notaty podróżne i wiersze, tudzież bilet wizytowy z napisem: Władysław Syrokomla. Miałże być to notatnik podręczny p. Władysława Syrokomli? Na ten czas miło nam donieść, że zguba została złożona w urzędzie powiatowym w Gorlicach...”

Ze wspomniany zamiar zwiedzenia Bieszczadów i Tatr nie udał się, informuje nas znowu następny, 183 nr „Czasu”. Korespondencja spod Bieczy wskazuje, iż trwające nieprzerwanie od paru tygodni deszcze i brak czasu na ich przeczekanie nie dozwoliły Syrokomli na górskie wędrówki. Zwiedzenie Rzeszowszczyzny poprzestał poeta, na poznaniu Bieczy, jego okolicy, Szymbarku i Gorlic. Stamtąd zapuścił się poza Rzeszowskie — aż nad Dniestr do Mariampola, gdzie żył dawniej Pol. I znów wstąpił w krakowskie mury, skąd 12 sierpnia odjechał koleją w kierunku Królestwa Polskiego.

### ZAUROCZONY

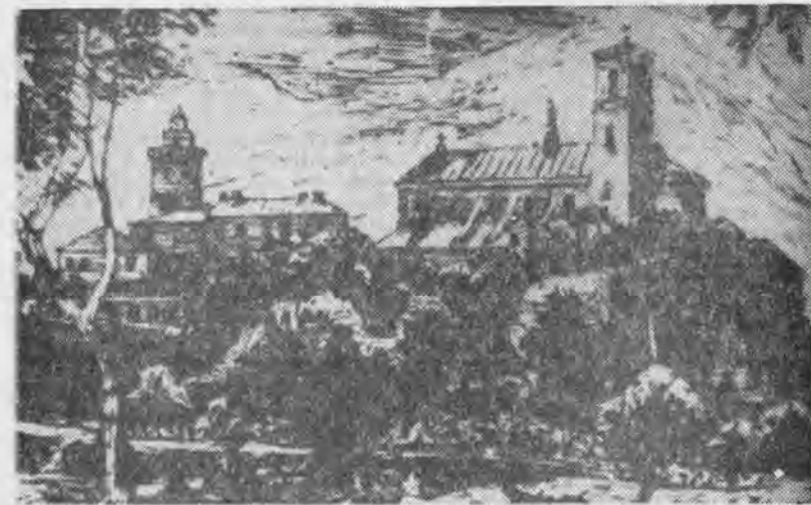
Daremnie w istniejących w krakowskich bibliotekach zbiorach listów szukałem wrażeń Syrokomli z Krakowa i Rzeszowszczyzny, choć z krakowianami w kontaktach pisemnych pozostawał. Jego praca literacka, która mogłaby impresje te zawierać — poemat pt. „Wrażenie pielgrzyma po ziemi swojej” — jest niedokończona. Posiada tylko część I — „Z Litwy do Wielkopolski” (Wilno, 1860 r.). We wstępie do tego poematu Syrokomla, zapowiadając część dalszą, pisał: „Przebiegłem małą część Wielkopolski, mniej jeszcze Galicji. Za mało nabytków dla głowy, ale wiele, wiele ich zdobyłem dla serca”.

Znając fakt zagubienia podróżnych notat, lepiej rozumiemy zwrot o ubóstwie nabytków dla głowy. Istotnie, z pamięci trudno było wszystko odtworzyć. Cieszy nas jednak druga część tej sentencji — o nabytkach dla serca. Czar cudownego Krakowa i podkarpackich małych miasteczek Rzeszowszczyzny odniósł jeszcze jedno zwycięstwo. Jak wielu turystom, tak i imc panu Syrokomli przypadły do serca podczas wakacyjnych przygód.

również w gronie biesiadników, wychylających kielichy za pomyślnie Syrokomli, toteż nagła jego śmierć tym bardziej przekreśliła pomysł obiadu.

### ZGUBA Z GORLICKIEGO BEZIRKSAMTU

Dalsza lektura spałt pocztowego „Czasu” może potwierdzić sugestię, iż poetycka głowa Syrokomli była czymś zawrócona. Teraz odnajdujemy ślady wędrówki po Rzeszow-



skochał bohaterską historię swego narodu, swój kraj i chciał z bliska poznać jego wielkie pomniki. Ta ponawcza namiętność turysty-historyka kazala mu — w pewnej mierze — w 1858 r. oderwać się od rodzinnych zgrzyot, od żony, gromadki dzieci, od terminów autorskich i terminów zwrotów pożyczek, od gospodarskich kłopotów przy dzierżawie Borejkowszczyzny pod Wilnem.

### ZA AKTORKĄ — PRZEZ PIASTOWSKIE STOLICE

Nie byłbyśmy ściśli, gdyby rejestr przyczyn pomysłu peregrinacji na tym się wyczerpywał. Na horyzoncie poetyckich marzeń i ideałów Syrokomli pojawiła się aktorka, kobieta wielkiej urody — Helena Kirkorowa, z domu Majewska, małżonka Adama Honorego Kirkora, wydawcy, archeologa i historyka z Wilna. Opuściła ona wówczas męża i Wilno, przenosząc się do Krakowa i na przełomie wiosny i lata 1858 r. z trupą krakowskiego teatru odbywała występ w Poznaniu. Poeta przedtem zakochał się w pięknej aktorce, ona odwzajemniała ogień uczuć dość zdawkowo, a plotka dotkliwie dała się we znaki Syrokomli. Zmarły w 1858 r. prof. Tadeusz Mikulski w „Spotkaniach wrocławskich” przypomniat fragment listu, w którym Kondratowicz szczerze pisał 5 marca 1858 r. do swego przyjaciela Jana Chęcińskiego: „...póki się nie zdobęde na wyjazd, to umrę ze zgrzyot. Potrzeba mi odświeżenia się i moralnego zmartwychwstania. Oderwać się od prac, które mi nie są po sercu, a które dla chleba rzemieślniczy muszę, odetchnąć waszym towarzystwem, odwiedzić w Krakowie, zwiedzić dalsze strony...” (podkr. moje — TZB).

Krakowski „Czas” nr 166 z 24 VII 1858 r. w rubryczce „Przyjechali!” potwierdza przybycie z Poznania „Władysława Kondratowicza” i zatrzymanie się pisarza w Hotelu Polskim przy ul. Pijarskiej. Skąd się wzięło przemierzanie imienia pseudonimu z oryginalnym nazwiskiem — trudno dziś dojdć. „Kronika miejscowa” w tym samym 166 nrze dziennika informuje poprawnie o przybyciu Syrokomli, natomiast ten sam bład tkwi w „Czasie” nr 170 z 29 VII, gdy Hotel Polski powiadał, iż pisarz przeniósł się „na prywatne mieszkanie”. Czyżby to był buduar pani Majewskiej? — nie dośkajmy! A przecież w świat zakulisowych, teatralnych wzruszeń, miłe lechących dumę... nie za pełną kaletę, poetę przeniosła notatka, która zapewne wyczytał w hotelowym kantorku w 167 nrze „Czasu” z 25

(Ciąg dalszy ze str. 1)

który wynikał z uczuciowego zaangażowania się przedmiotem. Swe powstanie zawdzięcza niewątpliwie modnemu wówczas ruchowi regionalistycznemu, który wtarłszy do środowisk uniwersyteckich, stworzył regionalistyczne koło studenckie, mające między innymi za zadanie zbieranie materiałów i opracowywanie rodzinnych miejscowości. Owocem idei regionalistycznej, którą ex cathedra głosił w murach międzywojennego Rzeszowa twórca regionalizmu polskiego Aleksander Patkowski, były prace Fуска o Bieczu, książki i rozprawy Seweryna Udział i Jerzego Piercha o Ropczyckim i Bieckim, którym ówczesny prowincjonalny Rzeszów mógł przedstawić tylko wydane przez Towarzystwo Regionalne Ziemi Rzeszowskiej „Rzeszowskie za Sasów” Juliana Nie-

Trzeba przyznać, że prym w ruchu naukowym regionu w okresie międzywojennym wiodł szczytający się tradycjami naukowymi Przemysli, gdzie wychodził, aczkolwiek początkowo nieregularnie, kontynuowany do dziś „Rocznik Przemyski”. Szkoda tylko, że przeważają w nim raczej rozprawy historyczne i to dotyczące historii najnowszej z archeologią włącznie, co jest uwarunkowane rodzajem źródeł historycznych znajdujących się w tym mieście.

Rzeszów na podobny „Rocznik Województwa Rzeszowskiego” zdobył się dopiero po wojnie i nie może powiedzieć, żeby w regularności w ukazywaniu się dorównywał „przemyskiemu bratu”. Wszystkie jednak wskazuje, że najbliższe lata powinny przynieść pewną poprawę na tym odcinku. Uczynienie z Rzeszowa stolicy województwa początkowo niewiele przyczyniło się, zwłaszcza w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej, do ożywienia ruchu naukowego - wydawniczego. Zanim zdążono zainicjować jakąś poważniejszą akcję, opuścili stolicę województwa naukowcy, którzy po wyzwoleniu rozpoczęli tu pracę zawodową.

Jeżeli można mówić o pewnych osiągnięciach naukowych w tych latach, to głównie w zakresie archeologii, etnografii i folklorystyki, czyli w tych naukach, do których można było znaleźć źródła i materiały. Na boku pozostawała przez długi czas historia mimo znajdującego się tu archiwum wojewódzkiego, nie mówiąc już o opracowaniu dawnego i rozwijającego się tutaj bujnie do dziś nurtu piśmiennictwa chłopiego, nazywanego niesłusznie literaturą ludową, która jest równoznaczna z pojęciem folkloru. Na czoło wysunęły się w tej dziedzinie przede wszystkim ludzie związani z miejscowymi muzeami w Rzeszowie i Przemyslu: Władysław Kunisz i Franciszek Kotula, autorzy licznych rozpraw z zakresu archeologii, etnografii i socjologii Rzeszowskiego. W ogóle placówki muzealne: rzeszowska, przemyska i niektórych miasteczek powiatowych obok Oddziałów Towarzystw Naukowych były chyba, jeżeli nie głównymi, to jedynymi instytucjami, w których skupiały się przejawy życia naukowego. Obok braku etatów i źródeł pomocy naukowych podjęciu poważniejszych prac syntetycznych stanął również na przeszkodzie brak należytego przygotowania metodologicznego, widocznego szczególnie w pracach folklorystycznych. Oprócz wyżej wymienionych instytucji należy przypomnieć ceną inicjatywę wydziałów kultury powiatowych rad narodowych, które potrafiły skupić i zachęcić do pracy nad dziejami „najwyższej” ojczyzny pracowników miejscowych i „emigrantów”. Efektem tych osiągnięć są między innymi dwa tomy „Nad rzeką Ropą”, które w przyszłości przekształcą się zapewne w wydawnictwo ciałe, opasył tom „Rocznika Sanockiego” i wydany sumptem

## Wkład do kultury narodowej

# Występy polonijnej śpiewaczki Jesteśmy całym sercem z Wami — mówi Joanna Kupiszewska z USA



Od kilku dni przebywa w Polsce znana śpiewaczka i działaczka Polonii Amerykańskiej P. Joanna Kupiszewska wraz z mężem P. Stanisławem Kupiszewskim. Artystka urodziła się w Ameryce. Dwa lata temu jako pierwsza Polka otrzymała tytuł „Woman of year” (Kobiety Roku) nadawany corocznie najwybitniejszej Amerykance. Przyjechała do Polski, aby wziąć udział w uroczystościach Obchodu 1000-lecia Polski. Przebywając na terenie woj. rzeszowskiego, artystka wystąpiła w pięknym Przemyslu z krótkim programem koncertowym i prelekcją na temat obchodów i uroczystości, odbywających się w br. w środowiskach polonijnych w USA. Spotkanie ze społeczeństwem Przemysla odbyło się w Sali Klubu Przemyskiego Domu Kultury w dniu 16 VII br. „Nasi rodacy w USA całym sercem z wami w okresie obchodów 1000-lecia Polski i 20-lecia Polski Ludowej — mówi Joanna Kupiszewska. Cieszymy się odbudową kraju, tym, jak piękna i bogata jest teraz Warszawa. W czasie trzymiesięcznego pobytu w Polsce dam szereg koncertów i spotkań w Warszawie. Jednym z województw, które w tym roku postanowiłam poznać jest woj. rzeszowskie. Jestem urzeczona pięknem i rozwojem ziemi rzeszowskiej, zwiedziłam Prze-

myśl, Łańcut, Krasiecy, widziałam Bieszczady i słynną już dziś „Pętlę Bieszczadzką”. Swoje wrażenia i odczucia przekażę po powrocie do USA rodakom spragnionym wrażeń z obchodów 1000-lecia Polski. Cała Polonia Amerykańska niezwykle uroczyście obchodzi ten historyczny jubileusz. Wszystkie organizacje polonii zaplanowały szereg spotkań i odczytów na tematy związane z krajem i jego rozkwitem. Wyświetlane są polskie filmy i organizowane spektakle teatralne i polskie widowiska ludowe. Pierwszy raz załoga Batorego była podejmowana w Miami na Florydzie przez Klub Polonijny. Miałam zaszczyt pełnić rolę „gospodyni” bankietu wydanego specjalnie z tej okazji. Wszyscy Polacy w USA głęboko przeżywają ten historyczny moment. Liczne zebrane społeczeństwo Przemysla, a zwłaszcza młodzież zgótowała gościom polonijnym gorącą owację, śpiewając na zakończenie spotkania tradycyjne 100 lat. Ryszard Stonczek, kierownik Wydziału Kultury w Przemyslu serdecznie podziękował artystce za przybycie, prosząc o przekazanie w imieniu społeczeństwa Przemysla pozdrowień i życzeń dla organizacji polonijnych, które Państwo Kupiszewscy reprezentują pamiątkowe albumy Przemysla i obraz ziemi rzeszowskiej. ELŻBIETA LIS

cznie popularyzacje wiedzy o regionie wśród mieszkańców województwa. W ogóle Tysiąclecie wniósł także pewne ożywienie w popularyzacje osiągnięć naukowych w dziedzinie historii regionu.

Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie ilustrowany „Biecz”, „Studnia z dziejów Jasła”, „Sześć wieków Brzozowa”, „Haczów” Stanisława Rymara oraz „Pieć wieków miasta Rzeszowa”. Rezultaty osiągnięć kulturalnych województwa rzeszowskiego zebrane zostały w grubym IV tomie „Rocznika Województwa Rzeszowskiego”, w którym jednak próżno by szukać jakiejś ogólnej syntezy ruchu wydawniczego, dotyczącego regionu. Odpowiednie pozycje trzeba wyławiać dopiero z wydanej przed dwoma laty „Bibliografii Rzeszowszczyzny”. Ostatnio daje się odczuć wzmagająca coraz więcej troska miejscowych władz i zachęta do pracy naukowej nad dorobkiem kulturalnym województwa. Oprócz sejmików kulturalnych, które weszły już do tradycji, obok sejsji Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza organizuje się sesje naukowe regionalne, skupiające najważniejszych pracowników naukowych zajmujących się regionem. Do takich należą: sesja popularnonaukowa, poświęcona dziejom literatury i kultury Rzeszowszczyzny, której plon ukaze się drukiem w najbliższych miesiącach oraz sesja poświęcona tradycjom ruchu ludowego na tych terenach, które wyniki mają być zebrane w tomie wydanym przez Wydawnictwo Lubelskie.

Zasadniczą cechą tego ożywienia badań wydaje się być akcent regionalistyczny, skoro na każdym kroku podkreśla się „rzeszowskość”. W fakcie tym dopatrywać się można dążności uczynienia z Rzeszowa centrum badań kulturalnonaukowych, które dawne, prowincjonalne miasto powiatowe pragnie uczynić ośrodkiem naukowym. Czy tej „rzeszowskości” jednak nie za wiele? W regionalizmie tym istnieje bowiem pewne niebezpieczeństwo: odcinanie się od ogólnopolskiego ruchu naukowego i prowincjonalne zacieśnienie. Ograniczenie się do zagadnień wyłącznie prowincjonalnych może zaprowadzić na manowce. Należałoby w ten sposób opracowywać tematy regionalne, aby one mogły stanowić cenne przyczynki dla przyszłych syntez naukowych w aspekcie ogólnonarodowym, a unikać zbytecznego rozdrabniania się. W miejsce dotychczasowej działalności przygodnej i partyzanckiej w pracach naukowych oraz niejednokrotnie chaosu powinny wkroczyć koordynacja i planowanie. Otworzy się w Rzeszowie, jak nigdy dotąd, możliwości publikacji prac naukowych. Miasto doczekało się dwu organów naukowych: obok „Rocznika Województwa Rzeszowskiego” jest nim wspomniany wyżej „Kwartalnik Rzeszowski”. Jest nadzieja na powstanie w przyszłości czegoś w rodzaju wydawnictwa miejscowych oddziałów towarzystw naukowych. Wkład tego regionu w dzieje kultury polskiej jest olbrzymi, trzeba tylko naukowo go opracować. W wyniku tego zmieni się zapewne geografia kulturalna kraju. Miejsce białych plam na mapie Rzeszowskiego zajmą nie tylko czarne, ale i czerwone punkty. ALEKSANDER ŻYGA

# Kalman Segal Wypytanie gwóźdździ

Pociąg włókł się długo, zwykły pociąg osobowy, przedwojenny. Przedział z twardymi ławkami. A w przedziale dwie starszki drzemące w siedzącej pozycji; ziewający chłop, z czarnym parasolem w garści; ksiądz wiejski w zabłoconych butach i w spłowiiałej sułannie. Damska po czterdziestce, z katem. Podróż, towarzysze podróży.

Potem miała stacyjka z kwiatkami i z flagą państwową na dachu — zapewne obchodzone tu jakąś lokalną uroczystość.

I wreszcie: właściwa przyjemność. Zdjąłem buty i szedłem przez wieś pieszo i bosy. Oglądałem się za mną ludzie, dzieci się za mną oglądały; miałki proch pod stopami był gorący, dobrze nagrany od letniego słońca, wspaniały był ten proch, grzał stopy i osiadał na mankietach spodni, zabarwiając je na szaro.

Chałupa? T u t a j stała ta, której pan szuka, nad tym potokiem stała; potok niekiedy wzbierał, najczęściej wiosną, ale i w jesieni się zdarzało, sam pamiętałem, drzewa z korzeniami unosił, brzegi podmywał, zabudowania zabierał.

Nasz dom był brzydki, ale obszerny i wygodny, miał mnóstwo zakątków, wnęk, piwnic, strychów i stryszków, we wszystkich tych kątach i zakamarkach — ciemnych i zakurzonych, obrośniętych pleśnią poruszały się kosmate pajaki i plugawe robactwo, wielonogie i wąsate, wszędzie można było dogrzebać się czerepów starych glinianych naczyń, jakich już od dawna nikt nie wyrabia. Leżały tam stare kapoty noszone przed stu laty, chodaki i ciżmy, a raz nawet znalazłem cylinder z grubego sukna, do polowy przeżarty przez myszy.

Obok stał dom Jurka Koby, bogatego gospodarza i wójta, który miał sześć córek i jednego syna. Przed domem Koby była kamienna kapliczka z drewnianym cierpiącym Chrystusem.

Córki Jurka były urodziwe, o radośnie uśmiechniętych twarzach, wesołe były i jurne od dobrego jedzenia, niczego im nie brakowało, ani kochanków, ani kolorowych spódnic i wstażek, ani lakoci.

Jurko zasiadał w karczmie i popijał piwó w brzuch miał ogromny, pojemny, a piwo było dobre i pożywne, więc Jurko obrastał sadłem, pysk miał tłusty i czerwony, blizny, a krzepę w dloni taką, że podkowy łamał. To co inni robili za dzień, on robił w ciągu godziny, dlatego nigdy nie brakło mu czasu na pijaństwo.

Sześć córek miał wójt, a wszyscy chłopcy we wsi marzyli o nich; te piękne siostry były kapryśne, były chłopskich synów po ogorzałych twarzach, chłostały śmiechem i okrutną drwiną. Czasem niespodziewanie odzywał się w ich żyłach krzyk krwi, krzyk tęsknoty i pragnienie kochania — jeśli komuś szczęście dopisało, szedł w taką noc z wójtową córką daleko w las, w las lub na mięką puszystą łąkę pachnącą kminkiem, i był szczęśliwy.

Wychodzę z domu w niedzielne rano, czerwiec, lipowe kwiecie uderza w nozdrza; jaśmin koło chałupy omdlewają pachnie, słonko oślepia, niebo czysto jakieś. Ech, wy, skowronki, skowroneczki, żajworonki z kapełi ruskiego Pana Boga, dobre je żyty na świat, bo ten świat pachnie Jawką Kobówną, niebo jak oczy Jewki — włosy Jewki, śpiew Jewki, jej pierś i uda, kocham ją całą jej stopy, które ona z takim poświęceniem szoruje co wieczór w zimnej jak lód wodzie strumienia, po to by były dla mnie czyste. Wyuzdana Jewka, subtelna, niepiśmienna, dłonie ma twarde, zrogowaciała skóra na dłoniach, gładkie zaś na ramionach i uda gładkie. Mówi: luby męne nyny i zawtra, wiczno mēne luby.

Stara Kobicha wypęda dziewczęta do cerkwi, wszak jest niedziela; Jurko smaruje smalcem cholewy; Jewka stoi w środku izby, w długich po kolana, białych majtach z koronkami. Ukryty za krzakiem bzu widzę ją przez otwarte okno i krew uderza mi do głowy. Nie słyszę, kiedy z chałupy wychodzi mój ojciec, nie słyszę, że podchodził do mnie, poczuje jego obecność dopiero za chwilę, kiedy

twarda pięść wyląduje na mojej twarzy, na mojej szczęce. Zamroczyło mnie to nagłe nieoczekiwane uderzenie, ten cios mnie zamroczył, zatoczyłem się jak pijany.

— Co to jest? — zapytał ojciec, a ja dopiero w tej chwili zauważyłem, że jego wzrok uporczywie draży moją szyję w tym miejscu, gdzie zamiast tasiemki do zawiązywania, tkwił nowy piękny guziczek i prawdziwy koiłnierz. To o ten koiłnierz chodziło i ten guzik — szczęśliwy byłem dokonawszy tego odkrycia: nie o Jewkę, nie o moje nocne tarzanie się z córką sąsiada, ale o ten głupi blizujący guzik od koszuli, o ten rzekomy symbol miejskiej mody i światowości, o moją rzekomą pogardę dla wiejskich i dobrych obyczajów chodziło; za ten guzik dostałem od ojca pięścią po twarzy.

Podszedł do mnie jeszcze bliżej, cofnąłem się, ale i on nacierał, dwoma palcami szarpał koiłnierz, odpruł go błyskawicznie, na ziemię rzucił i przydeptał. Nie będę już miał czym zaimponować Jewce, dla niej przecie kupiłem tę nową koszulę, myślałem, cholerny ten świat, ojcu na złość ożenie się z Jewką, weźmiemy wspaniały ślub w cerkwi, właśnie w cerkwi, mojemu ojcu na złość.

Kochałem Jewkę. Oddychałem jej oddechem, znałem jej każdą myśl i każdy zakątek ciała, wiedziałem czego pragnęła i pragnąłem tego samego. Kochając się, jęczeliśmy i śmieliśmy się, triumfowaliśmy, cały świat leżał u naszych stóp i razem z nami konał z rozkoszy. Razem odpływaliśmy i przypływaliśmy razem, powracaliśmy razem do rzeczywistości, zmęczeni; odpoczywaliśmy chwilę, czy godzinę, nadpływały nowe strumienie krwi, było nam śpieszno i pilno, świat rozpylał się, cofał się w czasie, twarda skorupa ziemi rozsypała się pod nami, lecieliśmy w piekło, lecieliśmy w niebo, Jewko, więdźmo na latającej miotle, serdęńko moje, anhel światoj lublu tebe.

Była źródłem życia, ziemią błogosławioną, w której ziarno nie szło na marne. W siedemnaście roku życia zaszła w ciążę, ukrywała to jakiś czas przed mną, potem pewnej nocy zwierzyła mi się i zaproponowała ucieczkę ze wsi. Nie miałem dokąd uciekać, świat był dla nas zupełnie obcy, a ja nie tęskniłem za dalekimi krajami. Mimo to nie miałem powodu nie zgodzić się na ucieczkę. Tym bardziej że to już było po śmierci matki i ojciec rozglądał się za jakąś narzeczoną.

Pewnego dnia o świcie zaprzęgną konia i pojechał do miasteczka. Nie było go przez trzy dni, na czwarty dzień o zmierzchu furmanka zaturkotała na podwórzu; zatrzymała się przed progiem. W wieczornym chłodzie drżała z zimna młoda miejska dziewczyna o wystraszonym spojrzaniu czarnych wielkich oczu i o bladej niemal przezroczystej cerze. Niezgrabnie zeskoczyła z wozu, potknęła się i upadła; leżała na żwirze przed chałupą, widzieliśmy jej szczupłe zgrabne nóżki, jej uda białe jak mleko, bo tak niezgrabnie upadła, że sukienka podwinęła się, i my, to znaczy moi bracia i ja, patrzyliśmy na nią niemi z zachwytem i osłupieniem. Nie spodziewaliśmy się tego, zaskoczyło nas pojawienie się takiego gościa w naszym posurym domu. Staliśmy przed progiem, na tle ciemnej czełusi sieni, kiedy ojciec mrużąc coś przykrego, dopomógł jej wstać i powiedział:

— To jest wasza macocha. Podejdźcie i pocałujcie ją w ręce, a potem możecie wyprzeżyć. Konia trzeba najpierw nakarmić, a dopiero później napić. Niech ostygnie.

Więc my, dorośli synowie, podchodziliśmy i całowaliśmy jej drobna kośćca rękę, zaciśniętą nerwowo w pięść, nie patrzyliśmy jej w oczy i ona na nas nie patrzyła; byliśmy młodymi wilkami, a ona była jagnięciem; nie ma zwyczaju by

wilki i jagnięta patrzyły sobie w oczy. I jeszcze zanim weszła do domu, do kuchni a potem do alkierza, my już zastanawialiśmy się, gdzie ona będzie spać, nie mogliśmy pogodzić się z myślą, że obok ojca, razem z nim. Nie użyczaliśmy ojcu tej pięknej dziewczyny, tej milczącej i wystraszonej piękności, którą postanowiliśmy zniechęcić po to, by nienawistną zagluszycie rodzającą się w nas miłość do niej i uwielbienie.

Była zupełnie inna od naszych wiejskich dziewcząt; była cicha jak cień i delikatna, jej twarz była świadectwem zupełnej bezbronności, a także świadectwem krzywdy, jaką jej zgotowano, bo i to chyba było zrozumiałe, że nasz kochany ojciec nie był królewiczem z bajki, choć dbał o nią bardzo; o naszą biedną matkę nigdy tak nie dbał; nie pozwalał naszej młodej macosze ciężko pracować, chciał ją mieć wypoczętą i zadowoloną, a i my też

ją chętnie wyręczaliśmy, bo była wąta i niezgrabna do prawdziwej gospodarskiej roboty.

Ojciec był jeszcze wtedy w świetnej formie a przynajmniej udawał, że jest w świetnej formie. Upijał się w karczmie ze swoim przyjacielem, Jurkiem Kobą. Jurko pił piwo, a ojciec wódkę; ile halb tamten wypijał, tyle kieliszków wódki wypijał ojciec, taką mieli umowę. Tamten od piwa tył, bo piwo to napój pożywny, a ojciec chudł i marniał, bo wódka suszy.

Podpiwszy sobie, ojciec wrócił raz do domu w awanturycznym nastroju, podśpiewywał sobie chwacko i patrzył na nas zaczepnie. Macocha czekała przy kuchni z kolacją, małe spracowane ręce wciąż na nowo poparzone od garów, trzymała splecione na podolku, nie patrzyła na nas, nie patrzyła na nikogo. Młodszy brat majsterkował miotkiem i obcążkami, zbijał ozdobną szkatułkę, robota szła mu spraw-

nie, bo miał złote ręce, a ta szkatułka była przeznaczona dla naszej macochy, i to nie spodobało się ojcu; patrzył na to zezem przez kilka wieczorów, a owego nieszczęsnego wieczora powróciwszy z karczmy, wzięł pudełeczko do ręki i oglądał ze wszystkich stron, szukając dziury w całym.

— Gwóźdź krzywo siedzi! — znalazł wreszcie i roześmiał się uradowany. — Patrz! Widzisz? Krzywo?!

Brat podszedł z obcążkami, gotów naprawić błąd, ale ojcowe oczy zapaliły się nagle, coś sobie stary wykombinował, coś niedobrego.

— Zębami — powiedział spokojnie, ale stanowczo. — Zębami synku gwóźdź wyciągnij.

Brat i my wszyscy patrzyliśmy głupkowato.

— Nie rozumiesz? Zębami. I brat wyciągnął gwóźdź zębami, bo żeby miał zdrowe i mocne jak pies, jak drapieżne zwierzę. Podczas gdy posłusznie spełniał kaprys ojca, w izbie było cicho, słychać było tylko zgrzytanie i chrobotanie zębów zmagających się z żelazem.

W pewnej chwili macocha nagle wybuchnęła głośnym spazmatycznym śmiechem. Śmiała się długo i nie mogła przestać, a my przelecieliśmy się tego śmiechu: nie płakała, nie krzyczała, nie kłęła. Śmiała się. W jakimś czasie później ojciec uderzył ją w twarz i wtedy ona znów powtórzyła swój niesamowity zimny i smutny śmiech.

Pewnego dnia ojciec zachorował i po trzech dniach umarł. Macocha nie płakała i nie śmiała się. Nocą opuściła alkierz i poszła na strych, gdzie spał mój młodszy brat, ten który zębami wyrwał gwóźdź. Położyła się obok niego i spełniła swoją zemstę na ojcu.

Po pogrzebie macocha znów zamieszkała w alkierzu; odnosiła się do nas z serdecznością i pokorą, gotowała nam strawę i obszywała podartą odzież.

Nic już nie stało na przeszkodzie, mogłem już teraz odejść z Jewką. Ale akurat wtedy Jewka zmieniła uczucia, zakreśliła się koło ruskiej plebanii i rozkochala w sobie księdza Oparyle; wyszła za niego za maż i więcej nie chciała mnie znać.

Jeśli chodzi o starego Kobę, to rozchorował się na nerki, lekarz zabronił mu pić piwo, i to go zabiło, bo on bez piwa nie chciał żyć, a może nie mógł, i wkrótce potem zmarował się i umarł.

Wieczny odpoczynek umarłym.



Rys. J. SIENKIEWICZ

## Okruchy historii

# Surowe „hamowały” przestępców

Jak gdzie indziej, tak i w Łańcucie trafiały się zabójstwa, a najczęściej po pijanemu. Pijaństwo też było jedną z ówczesnych plag. Tak więc końcem lutego albo początkiem marca 1597 r. zabito niejakiego Knauta, bardzo być może, że służył, a nawet dworzaniina Stadnickiego — właściciela miasta, słynnego okrutnika, bo w całą sprawę wyjątkowo wdaje się zamek. Bezpośrednim sprawcą, a jak się go określa „mężobójcą” był niejaki Prays, który jednak zbiegł. Widocznie były przypuszczenia, gdzie się mógł ukryć, bo „ku szpiegowaniu” wysłano do Sokolowa Nikiela Krausa i wysygnowano mu 20 groszy, a drugiego, niewymienionego po nazwisku w kierunku Przeworska, do miejscowości Mokra Strona, dając mu tylko 6 gr.

Czy zabójcę złapano — z księgi nie dowiadujemy się. Natomiast dowiadujemy się, że aresztowano szynkarzów i to na polecenie JoMcI, a więc samego Stadnickiego. Wygląda również, że aresztowanych zamknięto nie w miejskim, ale zamkowym więzieniu. Czy wina ich była istotna, czy tylko podejrzana lub sugerowana — trudno powiedzieć. Zabójstwo stało się w ostatnim szynku, kiedy zwada między bijącymi się powstała w innym — dla pewności Stadnicki kazał więc zamknąć obu szynkarzy. Musieli być jednak znacznymi mieszkańcami, kiedy o ich zwolnienie zabiega zarząd miejski. Sam widocznie nie czując się na siłach, nie udał się bezpośrednio do JoMcI, upraszając o interwencję miejscowych księży. Dowiadujemy się o tym z dwu pozycji i tak: „za korzec owsa dla X. Piotra, iż się przyczynił do JoMcI o odpuszczenie wina po zabiciu Knauta — gr 14, za obiad i picie Xiędzom, którzy chodzili przyczynić się do JoMcI o odpuszczenie wina szynkarzom gr 21”.

Należy podkreślić, że owo pośrednictwo czy wstawiennictwo właściwie bardzo tanie, a inter-

wencji dokonali z całą pewnością pastorzy kałwiński, Stadnicki bowiem, jako fanatyczny wyznawca nauki Kalwina, w ogóle wyrzucił z miasta religię katolicką, katolickich księży nie przyjmował i nie uwzględnił ich prośby. Z treści notatek wynika, że Stadnicki jednak szynkarzów wypuścił.

Jak już wspomnieliśmy, po objęciu w posiadanie włości łańcuckiej przez Stadnickiego, miasto musi pokrywać koszty grzebania oraz licznionych „zankowych” wisielców, czego zupełnie nie spotykało się za poprzednich właścicieli, Pilec kich.

Nie ma na to dowodów, ale można przypuszczać, że częste egzekucje były dokonywane na przeciwnikach Stadnickiego, znanego awanturnika i okrutnika. Egzekucje zamek wykonywał na własny rachunek, koszty chyba nie były wysokie. Natomiast drobniejsze przewinienia w stosunku do JoMcI, za które nie groziła kara śmierci, zamek przekazywał sądowni miejskiemu. Być może z pouczeniem, jak winowajcy mają być ukarani.

W protokołach sądów ławniczych innych miejscowości, dość często spotyka się sprawy o kradzież, w których pośrednio oskarżani byli kowale. Zwyczajnie za dostarczenie złodziejom podrobionych kluczy czy wtrychów. Kto wie, czy z podobną sprawą nie mamy do czynienia i w Łańcucie, a zanotowaną pod datą 6 IV 1594 r. Głównym oskarżonym jest klucznik JoMcI, Jasiek, ale w związku z nim bito kucharkę Woźniczkę, że nierychło wyjawiała przestępstwo owego Jaska. Oprócz niej także czeladników pana Piekarskiego, który wydaje się być mistrzem kowskim. Z rozprawy wynika, że klucznik JoMcI Jasiek, i czeladnicy mieli jakąś tam spółkę. Koszty przewodu sądowego pokrywa naturalnie miasto.

30 sierpnia tegoż 1594 roku, w kaźni miejskiej męczono i przypalano „woźnicę zbiegłego pańskiego”. Jeśli zaś zbiegł, to chyba nie dlatego, żeby mu u JoMcI było zbyt dobrze.

Sądy miejskie w wyrokach przez siebie wydawanych, szczególnie w Łańcucie w opisywanym czasie, postuluwały się nie tylko obowiązującymi przepisami prawa magdeburskiego. Na jakość wyroków duży wpływ miał właściciel miasta, którego zalecenia były najważniejszym prawem. Niestosowanie się do nich groziło ławnikom karami, zresztą z góry określonymi w pańskich rozporządzeniach.

Stadnicki dążył w mieście bezwzględnej dyscypliny, w tym celu wydawał mandaty na piśmie, które musiały być podawane do publicznej wiadomości. Mandaty te, uprzednio z oryginału przez miejskiego pisarza wielkimi literami i czystym piórem przepisane w kilku egzemplarzach, były przybijane między innymi tak na drzwiach ratusza, jak i więzienia. Koszty przepisywania i przybijania znów ponosiło miasto. I tak, na przykład 17 II 1594 roku za takie manipulacje zapłacono z kasy miejskiej 13 gr i 6 szel.

Jak więc z powyższego wynika, dostać się w ręce łańcuckiej — zresztą każdej innej w tym czasie — sprawiedliwości, było niezbyt i przyjemnie, i zdrowo. Kuna, dyby, skrzypce, świece, powrozy i miotki nawet z niewinnego potrafiły wydusić największe winy. W księdze czyta się bowiem o męczoniu nie tylko faktycznych winowajców, ale i podejrzanych. Na pocieszenie; zanotowanych spraw karnych, w stosunku do czasu i ilości mieszkańców jest właściwie mało, nawet bardzo mało. Dlaczego? — narzuca się pytanie: czy ludzie byli bardziej etyczni? Raczej nie. A więc... Z dzisiejszego punktu widzenia można mieć takie czy inne zastrzeżenia do pewnych aspektów dawnej procedury sądowej. Nasuwa się jednak przypuszczenie, że bardzo surowe kary i publiczne ich wykonywanie, na oczach śladnej sensacji i rubasznej gawiedzi, miały pewne hamujące skutki.

# Kabaret starszych pań Szpital od schodów kuchennych Dziś - na obiad surówka Położna w powłóczystej sukni Wycinek wspomnień na Tysiąclecie ze szpitalnych kronik

Przed kilku dniami w klubie Szpitala Wojewódzkiego odbył się kolejny spektakl miejscowego kabaretu, na który licznie przybyli pracownicy oraz zaproszeni goście. Po wywołaniu jeszcze w starej świetlicy w suterrenach głównego budynku szpitalnego amatorski zespół teatralny zaczął od jednoaktówki w rodzaju „Zaprzęgaj konia”. Łza w oku się kręci na wspomnienie tych popisów. Z biegiem czasu wzrastały ambicje artystyczne zespołu — sięgano po sztuki trzyaktowe i 4-aktowe „Pawilon pod sosnami”, „Sprawa rodzinna” itp., z którymi wyjeżdżano do różnych miejscowości województwa. Oprócz tego rodzaju próbowania sił i uzdolnień na deskach scenicznych, dążono do utworzenia „sceny”, która poruszałaby problemy z „własnego powłóczystego”.

Bardzo pasjonującą okazała się satyra w miarę delikatna, w miarę uszczypliwa, penetrująca w sposób wnikliwy życie szpitala. Tak powstaje „Kabaret starszych pań”. Programy są interesujące z uwagi na oryginalność pomysłów „Archeologia i my”, „Co będzie za 100 000 lat”. Oto tytuł ostatniego programu. Jak będą reagować przybyłe z obcych planet wydobywając wykopaliska po szpitalu wojewódzkim, na podstawie których będą musieli odtworzyć, jak wyglądał szpital, jakie charakterystyczne cechy posiadali ordynatorzy szpitala i z jakimi kłopotami się zmagali. Tekstów oraz po myślowo do kabaretu dostarczają wszyscy, którzy mają ochotę, trochę poczucia humoru i wyobraźni. Udział w występie biorą pielęgniarki, lekarze, pracownicy administracji i pracownicy fizyczni. Fakt ten tak bardzo zasługuje na podkreślenie, nie tylko dlatego że jest jakąś akcją społeczną na pewnym poziomie artystycznym i na pewno wychowawczą, ale i dlatego, że przyciąga pracowników do klubu, który mieści się w Domu Pielęgniarek; można tu wypić kawę po pracy, zagrać w brydża czy oglądnąć program telewizyjny. Cóż za szalona różnica w rozrywkach pracowników, organizowanych w ciasnej świetlicy z roku 1945 a obecnie w klubie. Postęp i czas dotykają wszystkiego dobroczynną ręką.

Ktoś stojący z boku nie stykający się z życiem szpitala nie ma pojęcia jakie trudności napotyka szpital, zwłaszcza w okresie rozbudowy, gdy nie można uporządkować terenu, gdy dostęp do szpitala jest ułatwiony poprzez ogrody i prowizoryczne ogrodzenia od tyłu. Rzekomo w trosce o najbliższych, w trosce o ich żołądki, krewni, znajomi przynoszą całe menażki ciężkostrawnych pierogów. W ukryciu przed pielęgniarkami karmią chorych po operacjach, co w najlepszym razie tłustym rosółem z wieprzowiny — zdarza się jednak w prezencie i koszyczek sliwek — co powoduje oczywisty krach.

Walka z tego rodzaju nierozsądnym postępowaniem jest o tyle utrudniona, że w naszym życiu pokutuje przekonanie, iż tłuste jedzenie przywraca siły. Obiad szpitalny kalorycznie dokładnie sprofilowany według pięciu diet ozdobił iżyką surówki nie odpowiada chorym. No bo jak może smakować dieta — chuda upotowana cielęcina bez soli. Od czego konspiracyjne dokarmianie najbliższych przez rodziny, które swój punkt kulminacyjny osiąga w okresie świąt. W takim świątecznym koszyczku „Czerwonego Kapturka” babcia znajdzie kilka jaj na twardo, babkę, nie brak flachy winka domowej produkcji. Naprawdę to nie bajka, a o efekcie nie będę pisała, zwłaszcza że w szpitalu nikt z głodu nie umiera, a nie można go porównywać do szpitala z okresu międzywojennego, nie mówiąc o czasach, gdy w tych placówkach leczyli się najubożsi.

Przed wojną w szpitalu menu układano dla klasy I, II i III. Ta „ostatnia” musiała się zadowolić jakąś zupą z chlebem. Jeszcze gorzej było w początkach szpitalnictwa. Wiele ciekawego materiału z zakresu wyższej wiedzy, obsługi chorych i tych odległych czasów zawierają rachunki wstawiane przez zarząd „powszechnego szpitala chorych” do zatwierdzenia Świętego Magistratu miasta Rzeszowa. Dziś sporządzić remanent na

oddziałach Szpitala Wojewódzkiego — problem kilkunastodniowy. Majątek szpitala sprzed 1886 r., tj. przed wybudowaniem Szpitala Powszechnego (obecny stary budynek) zamykał się na kilku pozycjach odzieży, a dyrektor szpitala dr Penderowski szalał z radości, gdy zdobył w darowiźnie worek kaszy czy maki. Opieka pielęgniarska szpitala to małżeństwo nadzorców szpitalnych. On był pomocnikiem chirurga, opiekował się chorymi pici męskiej — ona chorymi kobietami. Nędzna to była opieka, zwłaszcza że do ich jeszcze czynności należało sprzątanie, zabezpieczanie walących się ścian baraku, wstawianie wybitych szyb, a w wolnych chwilach pisanie skarg i donosów do Świętego Magistratu oraz podań.

W tym czasie po wąskich uliczkach Rzeszowa kroczyła w powłóczystej sukni p. Maria W.

Do obowiązków jej należało przyjmowanie dzieci w Powszechnym Szpitalu Chorych, w którym przecie rodziły się te najuboższe. Nie spieszyło się pani Marii do tych obowiązków, skoro miała bardziej intratne porody w prywatnych domach, lecz niemniej zabarwione gorączką, bo pacjentki wniosły skargę, iż gdy one leżą w położu, przedsiębiorcza akuszerka flirtuje z ich mężami. A zatem mieli panowie radni niemały kłopot z przydzieleniem renumeracji dla akuszerki miejskiej.

Opieka zdrowotna uległa w szpitalu poprawie po 1886 r., chociaż zjawisko dwóch chorych na jednym łóżku przetrwało do 1944 r., a opieka położnicza i nad noworodkiem urągała wszelkim podstawowym zasadom higieny i profilaktyki.

Dziś, w związku z 1000-leciem naszego państwa sięgamy pamięcią w przeszłość, porównujemy i zestawiamy różnice, doznajemy miłego wzruszenia, jakkolwiek nie przymykamy oczu na wiele jeszcze braków, które chłostamy m. in. w „Kabarecie starszych pań”.

IZABELA GORGON



BOGDAN LOEBL — literat.

Rys. J. SIENKIEWICZ

## „Podróż Mastorny” — nowy film Federico Felliniego

Federico Fellini rozpocznie wkrótce nakręcanie w Rzymie filmu pt. „Podróż Mastorny”. W roli głównej wystąpi Mastroianni, partnerka jego będzie prawdopodobnie Shirley McLaine. Ujrzymy tu też słynnego komika — Toto.

„Podróż Mastorny” będzie — jak określił sam reżyser — filmem przygodowo-fantastycznym, o dużym ładunku komijnym. Nie brak w nim również elementów sensacyjnych. Autorami scenariusza są Fellini i pisarz włoski Dina Buzzatti.



## Modny temat

„SA TACY CO NIE MOGĄ ZABIĆ CZŁOWIEKA, MUSZĄ GO WPIERW POZBAWIĆ CZŁOWIECZENSTWA”  
— STANISŁAW JERZY LEC

Szczęście — jak w piosence — krótko trwa. Co tu mówić. Nietego widło się obywatelowi W. w „zastępczym” pokoju, w wojewódzkim mieście. Właściciel domu objętego kwaterunkiem przyjął nowego lokatora fak serdecznie, że gdyby wzrok zabijał, obywatel W. odpoczywałby teraz po znojach ziemskich w niebiańskim apartamencie z widokiem na domy prywatnych właścicieli objęte kwaterunkiem, i miałby to wszystko... no w wielkim poważaniu. Wzrok jednak nie zabija i w tym sęk. Już na drugi dzień nieszczyśliwy szczęściarz z zastępczym mieszkaniem wysłuchał wykonaną pod oknem na jego cześć oryginalną serenade na garnki i grzebienie. Nowy lokator był nawet muzyczny, ale „koel koncert” nie zachwylił go.

Mijały dzionki, po koncertach przyszedł czas na piękne zbiorowe oracje polsko-lacińskie, w których przyjaciele gospodarza określali Obywatela W. najskromniej i niedwuznacznie: psu bratem, takim... synem, barbarzyńcą. Dalsze słoneczne, a jednak ponure dni przyniosły Obywatelowi W. bardzo poważne ostrzeżenia: — Wynoś się z mieszkania lajdaku, bo ci flaki wyprujemy!

Takie ostrzeżenia uzupełniały pewne retoryczne pytania pod drzwiami: — A może faceta przyrzadzić na siekany kotłecik!

Przynajmniej, że te mowy mogły nadszpernąć nerwy, nawet człowieka bez nerwów, zwłaszcza że Obywatel W. miał realizować pewne plany na przyszłość po otrzymaniu nowego mieszkania. Wiadomo, przez życie łatwiej jest iść we dwójce. Na myśl, że oracje, które obrażają nie tylko słuch białogłów, mogły wysłuchać pani Pelagia, Obywatel W. dostawał białej gorączki. Nad ranem męczyły go niespokojne sny. Pani Pelagia po wysłuchaniu oracji naspikowanej makaronizmem pod jego adresem krzyknęła: „Jesteś niepoń. Iadaco” i odwróciła się na szpiłkach, odchodząc w stronę dał. A jej przyjaciółka dorzuciła z pogardą — „A to ci ananas”.

W tej sytuacji Obywatel W. rzekł do siebie — ząb

za ząb i na groźne ostrzeżenie odpowiedział ostrzeżeniem.

— Ja was gawrony do sądu podam!

Słowo się rzekło, kobyłka u plotu. Sprawa stanęła przed kolegium.

— Czy zarzuty te mogą potwierdzić świadkowie — zapytał przewodniczący kolegium.

Tej ewentualności nie przewidział zmaltretowany lokator.

— Ponieważ nie ma świadków i nie przedstawiono kolegium innych wiarygodnych dowodów, a więc wypowiedź tę traktować możemy jako insynuację i możecie być obywatelu ukarany za pomówienie.

Po wysłuchaniu tego jeszcze jednego groźnego ostrzeżenia, załamany lokator wpadł na genialny pomysł i rozpoczął gorączkowe poszukiwania magnetofonu. Wkrótce nastąpiła oracja wraz z 151 ostrzeżeniem została nagrana na taśmie magnetofonowej. Tym razem nieszczyśliwy był pewny, że przekona kolegium. Zaczęło się jednak pechowo. Jeden z członków kolegium szepnął do drugiego.

— Za 15 minut mam ważny odczyt na temat humanizacji i stosunków międzyludzkich. Bardzo się kolego śpieszę.

— A więc zaczynamy — powiedział drugi.

Odtworzone z taśmy „insynuacje” wysłuchano nawet z pewnym zainteresowaniem. Ale potem Obywatel W. usłyszał:

— Taśma magnetofonowa nie jest dla kolegium dowodem!

Tak się złożyło, że byłem na tym odczycie. Cóż zrobić, dziś to modny temat. Prelegent z wielkim przejęciem wskazywał na tragiczne skutki złych stosunków społecznych i z gorącym zapalem mówił o moralnym poziomie życia zbiorowego. Najchętniej był brawa gospodarz domu objętego kwaterunkiem i jego przyjaciele.

Na szczęście, które nie zawsze musi trwać krótko, — innego zdania w sprawie taśmy magnetofonowej był prokurator, który zajął się właścicielem domu i jego humanistyczną spółką.



ADOLF LEKKI: Zmierzch. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie, s. 257, cena 16 zł. Współczesna. Czekaj pierwszą akcją w okresie wojny, druga współczesnie. O rodzinie w...jskiej i jej tragicznych losach. O postawach ludności wiejskiej wobec okupanta, pracy konspiracyjnej i formowaniu się władzy ludowej po wyzwoleniu.

JAN BRZEKOWSKI: Wyobrażenia wywołana. Szkice i wspomnienia. W-wa 1966. PIW, s. 248, cena 15 zł.

W bardzo małym nakładzie wydany tom eseju poety, powieściopisarza, jednego z teoretyków awangardy krakowskiej, z których pierwszy napisany został przed 30 laty. Tom zawiera również szkice historyczno-teoretyczne o awangardzie, pozycje bibliograficzne futurystów i awangardy oraz indeks nazwisk.

STANISŁAW GROCHOWIAK: Karabiny. W-wa 1966. MON, s. 162, cena 10 zł.

Drugie z kolei wydanie tej pozycji znanego poety, dramaturga i powieściopisarza. O wojnie i o miłości.

ALEKSANDER KOMPANIEJCZAK: Co to jest mechanika kwantowa? W-wa 1966. PWN, s. 158, cena w subskrypcji 10 zł.

„Omega”.

Prof. dr A. Kompaniejcza jest obecnie kierownikiem działu teoretycznego Instytutu Fizyki Chemicznej Akademii Nauk ZSRR.

Kto, kiedy, dlaczego w technice. W-wa 1966. Iskry, s. 312, cena 15 zł.

Praca zbiorowa odpowiada na autentyczne pytania nadesłane do redakcji. Oto niektóre z nich: Kto wynalazł papier, zapałki, gumę? Jak daleko widzi radar? Co to jest błonica? Itp.

Centralna Poradnia Ruchu Amatorskiego przesłała ponadto: Siebosta; Widzieliśmy w 4 obrazach oparte na powieściach W. Orkana „W Rostokach” i „Komornicy”. Cena 27 zł.

SABINA WITKOWSKA: Odtworywanie niemieckiej i dzieci starszych. Wyd. VI usub. W-wa 1966. Państwowe Zakłady Wydawnictw Lekarskich, s. 192, cena 9 zł.

Potrzebne w każdym domu, gdzie wychowuje się naszych najmłodszych, wypróbowane.

Kwiaciarstwo. Podrecznik dla techników ogrodniczych. Wyd. II popr. i uzupełnione. Praca zbiorowa. W-wa 1966. PWRiL, cena 62 zł.

SYMON DATNER: Ucieczki z niewolnictwa 1939—1945. W-wa 1966. KiW, s. 452, cena 60 zł.

Ciekawa bardzo monografia o zbiegach z hitlerowskiej niewoli, o ucieczkach z obozów jeńców, technice ucieczek. Wiele ilustracji.

ZIUTA BUCZYŃSKA: Taniec na cześć pokoju. Cena 12 zł. Zawiera elementy tańca i opis tańca oraz nuty.

„Stefan Zeromski”. Adaptacje prozy, fragmenty dramatów, wiersze o pisarzu. Cena 32 zł.

KORNEL MAKUSZYŃSKI: O dwóch takich, co ukradli księżyc; cena 16 zł.

Pozycje powyższe oprócz scenariusza zawierają uwagi inscenizacyjne, projekty dekoracji i kostiumów. Pomocne dla amatorskiego ruchu artystycznego.

KAZIMIERZ ŻYGULSKI: Sociologia filmu, cena 30 zł. Zawiera bibliografię.